

MIĘDZY SZKOŁĄ A PARAFIĄ

Mój Tata był antyklerykałem. Nie wiem dlaczego, ale gdy w dziesięć lat po ślubie urodziła mu się wyczekiwana córeczka (czyli ja) i pojawił się temat chrzcina, Tata nie powiedział „nie”. Tylko zaproponował na chrzestną swoją siostrę – której Mama nie znosiła (po latach wcale jej się nie dziwię) i to z wzajemnością. I tym to sposobem przez dziewięć pierwszych lat życia pozostałam poganką.

Kapral z Rabki

Jako że byłam dzieckiem chorowitym (anginy, migdałki, zapalenia oskrzeli) w II klasie podstawówki wysłano mnie do sanatorium. Znalazłam niedawno parę kopert zaadresowanych „Rabka-Zdrój, ul. M.C. Skłodowskiej 2. Pawilon IV (Nazaret)”.

Mimo oddalenia od domu nie byłoby tak źle – ładne góry, świetna sanatoryjna szkoła, tylko że dyrektor tego miejsca próbował z niego zrobić coś w rodzaju koszar dla bardzo krnąbrnych rekrutów. Jeszcze wiele miesięcy po powrocie do domu szczyciłam się, że umiem złożyć ubranie w równą kostkę i tak naciągnąć prześcieradło na materac, że wygląda jak stół. Jeżeli ktoś tego nie umiał, albo miał bałagan w szafce, to w czasie kontroli dostawał „pilota”. „Mały pilot” – pościel i rzeczy osobiste łądowały na podłodze. „Duży pilot” – to samo, tylko na korytarzu lub za oknem. To był pewnie niewyżyty wojskowy, ale kto mu na to wszystko pozwalał? Największą nienawiścią ten zły człowiek darzył religię. Oczywiście nie mogliśmy chodzić do kościoła, o tym nawet nie było mowy. Wieczorem zniecka wpadał do naszych sal, zapalał światło i jak przyłapał jakieś dziecko na odmawianiu pacierza, to potem musiało kłęczeć na zimnym korytarzu z rękami do góry!! Przypominam, że tam były chore dzieci, niektóre z astmą, które spędzały w Rabce wiele, wiele miesięcy. Przy okazji tego „leczenia” zarażono mnie żółtaczką od brudnej igły wielorazowej, ale to już inna historia.

Nic dziwnego, że gdy koleżanka mnie namówiła, żeby konspiracyjnie wymknąć się wieczorem do sióstr, przystałam z radością. Zakonnice (to pewnie były nazaretanki, sądząc z nazwy budynku) nie mogły pracować z dziećmi. Zajmowały się tylko kuchnią, pralnią i szwalnią. Jednak potrafiły i to wykorzystać by nas jakoś pocieszyć, przytulić. Odmawianie modlitwy w ciemnym pomieszczeniu magazynu na ręczniki – ciągle mam to przed oczyma. To były po prostu jasne anioły...

Gdy latem wróciłam do Warszawy, zażądałam chrztu, to było naturalne. Tata nie mógł już zaprotestować. Zmarł na raka, gdy byłam w sanatorium. Chciałam też się zapisać do harcerstwa (w Rabce była drużyna zuchowa), ale... Dziwnym trafem w mojej Szkole Podstawowej Nr 68 im. Lucjana Szenwalda można to było zrobić wyłącznie w Pierwszy Piątek Miesiąca o godzinie 17. To dzień i godzina mszy św., na które się chodziło, żeby zgromadzić 9 róz (Teraz chyba ten rodzaj nabożeństwa nie jest praktykowany). To mi się wydało podejrzane, choć byłam taka smarkata.

Twierdza „Zmartwychwstanek”

Po kilku latach moja neoficka gorliwość nieco osłabła, zwłaszcza że rodzinna parafia św. Stanisława Kostki nie miała wtedy żadnych sensownych propozycji dla młodzieży. Szczęśliwie po sąsiedzku, czyli u Jana Kantego odbywały się rekolekcje oazowe, na które ktoś mnie namówił. Poszłam i „wsiąkałam” na kilka lat. Duszpasterstwem Akademickim „Koliba” kierował

ks. Henryk Michalak. „Szefer”, czyli „Żółty” potrafił wszystko. Wysłuchiwał zwierzeń, doradzał w najtrudniejszych sprawach nastolatków. Chodziliśmy razem na pielgrzymki do Częstochowy, przeważnie w grupie o. Huberta Czumy, jakieś góry, jakieś kajaki. „Żółty” potrafił ściągnąć na spotkania arcyciekawych ludzi – „legionowych dziadków”, uczciwych historyków – pamiętam Stefana Kieniewicza, Tadeusza Krawczaka czy Janusza Odziemkowskiego. Ktoś zapoznawał nas z myślą filozoficzną Feliksa Konecznego, a ktoś inny np. z psychologią. To, o czym ksiądz rozmawiał na lekcjach religii, prawie zawsze wychodziło od aktualnego filmu czy teatru telewizyjnego. A dyskusje bywały zażarte. Pamiętam też spotkania z Kisielcem, czy Antonim Macierewiczem. Mnóstwo tego było...

Kiedy mieliśmy zorganizować występ poetycki na opłatku młodzieży z całej diecezji z prymasem Wyszyńskim (to był pewnie rok 1978 albo 1979), wszyscy mieli wielką tremę. Wtenczas ksiądz ściągnął z Teatru Ochoty Halinę i Jana Machulskich! I oni ćwiczyli z nami przez prawie dwa tygodnie. Chyba nieźle wypadło. (Niedawno czytałam wywiad z ich synem, też reżyserem Juliuszem – ten od „Seksmisji” czy „Vabank”. Narzekał, że byli społecznikami i pracowali za darmo. No nie „za darmo” – za wdzięczną pamięć, tego się nie kupi za żadne pieniądze.)

Najważniejsze jednak w tym duszpasterstwie było takie poczucie luzu, poczucie wolności, to że o wszystko można było zapytać, o wszystkim pogadać, nie tak jak w szkole. To nawet trudno dziś wytłumaczyć, bo żyjemy w normalnym kraju, a wtedy były tylko wyspy czy raczej wysepki tej wolności. Zresztą samo miejsce, w którym się spotykaliśmy – klasztor ss. Zmartwychwstaniek, reduta Powstania 1944 r. na Żoliborzu – prowokowało takie myśli.

Papieska awantura

Jan Paweł II miał przyjechać do Warszawy 2 czerwca 1979 r. To była sobota, wtedy normalny dzień lekcyjny. I właśnie na ten dzień polonistka w „Poniatówce” (V LO) kazała nam przynieść wypracowania na kartkach z papieru podaniowego. Kto nie odda – dwójka. Gdy padły te słowa zrobiła się w klasie jakaś nienaturalna cisza.

– Pani profesor, ale nas nie będzie.

– No jak to, jak to, dlaczego?

Znowu cisza.

– No bo przecież jesteśmy Polakami – odpalił radośnie mój kolega z oazy Artur Kosiński. Ale się działo! Najpierw zrobiła awanturę, potem poleciała na skargę do dyrekcji. Nie poszliśmy do szkoły, nawet ateści. Przyszło siedem osób i oglądały telewizję. Ale pierwsze klasy zostały tak zastraszone, że zjawiły się niemal w całości. W innych szkołach było lepiej, czasem nawet nauczyciele wyganiali dzieci do domów, bo sami chcieli Papieża powitać. Ale tym ogólniakiem trzęsła pani od historii, pierwszy sekretarz partii w szkole, lubiąca – wraz z panią od geografii – wspominać zetempowską młodość. Podobno dziś jest to dobre liceum.

Moja poznańska przyjaciółka Majka, też znajomość z oazy zmartwychwstańskiej w Mszanie Górnej, miała inną historię. Na spotkanie z Papieżem do Gniezna nie pojechała, bo jej wysiadły migdałki. Ale chciała je zobaczyć w telewizji (zresztą transmisja była tylko lokalna, ja już tego zobaczyć bym nie mogła) i została w domu. Przynosi zwolnienie od matki: „Maria Krzysztofia nie przyszła do szkoły... z powodu wizyty Papieża”. – No, jak ty się nie wstydzisz przynieść **coś takiego** – wycedził przez zęby wychowawca. Też zresztą partyjny. Ciekawe co tacy ludzie robili później w wolnej Polsce. W Warszawie była słynna taka dyrektorka, która w stanie wojennym wyrzucała nauczycielki za „Solidarność”, a w 1990 r. gnoić uczniów, którzy nie chcieli się zapisać na religię...

Później ksiądz Henryk został przeniesiony, zresztą dużo chorował na gardło (choroba zawodowa nauczycieli, ale też duszpasterzy), niektórzy jeździli do niego gdzieś na Wolę, inni pozostali. „Kolibę” przejął inny ksiądz, ale to już nie było to.

Pamiętam jeszcze fajną rzecz z grudnia 1981 r. albo stycznia 1982 r. Stan wojenny, zimno, ciemno i paskudnie. Wieczorem byliśmy w salce parafialnej – kilkanaście dziewczyn, już nie pamiętam po co. Może robiłyśmy jakieś dekoracje albo przygotowanie liturgii. Co chwila podchodzi do którejś młody ksiądz i konspiracyjnie wywołuje do sąsiedniego pomieszczenia. Po paru minutach wywołana osoba wraca, jakaś taka rozchichotana i nie chce powiedzieć o co chodzi. Wreszcie i na mnie przyszła kolej. W sali obok siedzi staruszek proboszcz, ksiądz Ryszard Śliwiński i wręcza mi... wielką paczkę norweskich podpasek! No cud po prostu, w sklepach i aptekach nie było żadnych środków higieny.

Ksiądz Popiełuszko

Nie chodziłam do Kostki na msze „za Ojczyznę”, które zaczął odprawiać proboszcz Teofil Bogucki, a później wikary Jerzy Popiełuszko. Może dlatego, że było to tak blisko. Raczej jeździłam na Krakowskie Przedmieście do św. Anny. Byłam tylko raz w styczniu czy w lutym 1983 r. Staliśmy z moim chłopakiem Jackiem na wielkiej przymie śniegu (kiedyś to były zimy) w strasznym zimnie wśród tłumu ludzi. Nie pamiętam kazania, tylko wrażenie jakiejś autentyczności, prawdy słów wypowiedzianych przez Księdza Jerzego. Dlatego jego porwanie tak mną wstrząsnęło. To było jakby nierzeczywiste. Niedawno skończyły się wakacje, normalnie jeżdżą tramwaje, jest słoneczna „złota polska jesień”, a człowiek znika. Jakies komunikaty coraz to inne, plotki, pogłoski. Kiedy się dowiedzieliśmy, że ksiądz nie żyje (a wielu się przecież tego domyślało) pogłoski były jeszcze straszniejsze – że będą jakieś zamieszki, dalsze zabójstwa. Taka podpełzająca zewsząd groza. Bałam się.

Poszłam do spowiedzi na Starówkę do kościoła św. Marcina. Specjalnie tam, bo umówiłam się z rewelacyjnym spowiednikiem, księdzem Tadeuszem Fedorowiczem. Spodziewałam się dziecka i chciałam się dobrze przygotować do porodu. No i wiadomo, zawsze wszystko się może zdarzyć. Powiedziałam o tym swoim niepokoju i wtedy ksiądz Tadeusz powiedział coś bardzo mądrego – „Nie bój się, z tego co diabeł wymyśli złego, Bóg zawsze wyprowadzi jakieś wielkie Dobro”.

Na pogrzebie Księdza nie byłam. Odbywał się w sobotę 3 listopada, a ja na ten dzień miałam wyznaczony termin porodu. Poszliśmy tylko z Mamą rano do kościoła. Trudno się było dostać blisko, wszędzie stali kościelni „ochroniarze”, przeważnie ze służby papieskiej. Już na rogu al. Wojska Polskiego i Felińskiego stała pierwsza „czujka”. Na szczęście byli to znajomi z wydziału historii. Anka Burchacka, chyba też Adam Paluch, gdzieś w pobliżu krążył Andrzej Anusz no i na pewno był Włodek Bułhak, który zresztą mieszkał tuż obok. Niestety, dalej stali jacyś zasadniczy Ślązacy i do samej trumny nie dotarłam. Pozostało stać w oknie balkonowym i patrzeć na przepływające „rzeki” ludzi. Część szła po nasypie – wtedy ulicą Marchlewskiego, dziś Jana Pawła. Druga „rzeka” przepływała tuż pod moim balkonem. Wywiesiłam flagę z krepą (*nota bene* w całym bloku na 49 mieszkań zrobiły to tylko 2 osoby) i chyba sama wyglądałam malowniczo w sukience w poprzeczne biało-czerwone pasy. Co prawda byłam w niej gruba jak szafa, ale w dziewiątym miesiącu ciąży czego by się nie włożyło i tak by się wyglądało niezbyt wiotko. Kilka z przechodzących osób zrobiło zdjęcia – może ktoś się odezwie?

Nigdy wcześniej ani później nie widziałam na Żoliborzu takiej ilości ludzi. Nawet 14 czerwca 1987 r., gdy naszą parafię na krótką chwilę odwiedził Papież. I te masy kwiatów i lampek. Gdy w nocy z poniedziałku na wtorek rodziłam na Karowej córeczkę, ciągle to miałam przed oczyma. A czasu na rozmyślania miałam sporo, bo... zabrakło prądu czy też

zepsuła się winda i zamiast w sali leżałam niżej na szpitalnym korytarzu pod porodówką. Trudno spać w takim miejscu!

Proces toruński, czyli pielgrzymka z ubekiem

Procesu morderców księdza Popiełuszki nie śledziłam zbyt dokładnie (niemowle jest bardzo absorbujące), ale mam wrażenie, że służył on władzy również – a może głównie – do tego, by Kościołowi „przyłożyć”. Jakies kalumnie rzucane na biskupa Tokarczuka i kilku innych, jakies dyrdymały opowiadane przez Piotrowskiego. I płynące z sali sądowej przesłanie: zabilimy księdza, możemy zabić każdego. W dodatku nie mogłam się pozbyć natrętej myśli, że już ich kiedyś spotkałam. Kogoś z nich, albo ich kolegów i koleżanki z pracy.

To było kilka lat wcześniej, może w 1982, już nie pamiętam, na pieszej pielgrzymce do Częstochowy. Nasza „Koliba” dzielnie tupała w siedemnastce żółto-białej. Przewodnikiem był jezuita o. Hubert Czuma („z tych Czumów”), a w dodatku główny trzon grupy stanowili twórcy kultury, aktorzy, dziennikarze. Tych, co szli „służbowo” było kilkoro, więcej mężczyzn, ale też dwie lub trzy kobiety. Trzymali się razem (co było niezbyt profesjonalne) i jakoś się wyróżniali. Dostyć młodzi, ubrani zwyczajnie, raczej słabi kondycyjnie. Nasz ksiądz kazał być wobec nich uprzedzająco grzecznymi. Jednemu zrobiłam różaniec z jarzębiny taki jak mój, bo mnie poprosił. Wykorzystywali każdą okazję, żeby narzekać, nawet na ekipę medyczną, której wszyscy inni byli bardzo wdzięczni. Siali zamęt, ale niezbyt skutecznie, przynajmniej w naszej grupie. Piotrowski po wyjściu z więzienia zatrudnił się w jakimś piemku, które specjalizuje się w pluciu na ludzi wierzących. Ciekawe, co robią inni. A może nieciekawie.

„A na drzewach...”

Chrześciłam dziecko oczywiście u Kostki, w tzw. dolnym kościele, gdzie dziś jest muzeum. Datę wybrałam nieprzypadkowo – 12 maja, bo to także data mojego chrztu. Trzeba trafu, że była to także rocznica rejestracji „Solidarności” wiejskiej i była odprawiana plenerowa Msza święta. Hutnicy z Huty Warszawa i tłumy rolników z całej Polski. Tym razem kościelna służba porządkowa była tak gorliwa, że część zaproszonych przeze mnie gości nie zdołała się przedrzeć przez jej kordony!

Często chodziłam z małą Anią na spacer w okolice naszego kościoła. Dlatego, że to bardzo ładny, zielony i spokojny fragment dzielnicy. A ponadto ciągle działo się tam coś ciekawego. A to przyjechały autokarem dzieci w ubrankach od Pierwszej Komunii, a to grupa gospodyń wiejskich w strojach ludowych. Czasem trafił się jakiś zachodni polityk z obstawą, albo cudzoziemcy o egzotycznym wyglądzie. Raz nawet zobaczyłyśmy z daleka Margaret Thatcher! Czytałam małej napisy na transparentach, ciągle oplatających kościelne ogrodzenie, a ona lubiła niektóre hasła powtarzać. Niestety nie tylko to spod kościoła. Pewnego dnia budzę się rano a z łóżeczka dobiega słodki, dziecinny głosik: „A na drzewach / zamiast liści, / będą wisieć / komunisci”. A przecież przeczytałam to tylko raz, a dzieciak miał jakieś trzy latka! W panice coś zagadałam i na szczęście zapomniała. No bo jeszcze tego by brakowało, by tym tekstem się popisywała w jakimś miejscu publicznym. Był rok 1987 i mogło się to źle skończyć. Ten niezbyt pobożny transparent był podpisany przez jakąś grupę młodzieżową z Wielkopolski, bodaj z Gorzowa. Z pewnością wisiał bardzo krótko, bo pilnowano, żeby nie było wokół grobu Księdza nienawistnych napisów.

Kiedy wspominam czasy tej mojej katolickiej młodości, tych świetnych duchownych, fajne dziewczyny i fajnych chłopaków, to bardzo żal mi młodych, którym coś podobnego się nie przydarzyło. Trafili na niemądrego księdza albo złośliwą katechetkę i położyli kreskę na Kościele jako takim. Miałam wielkie szczęście.